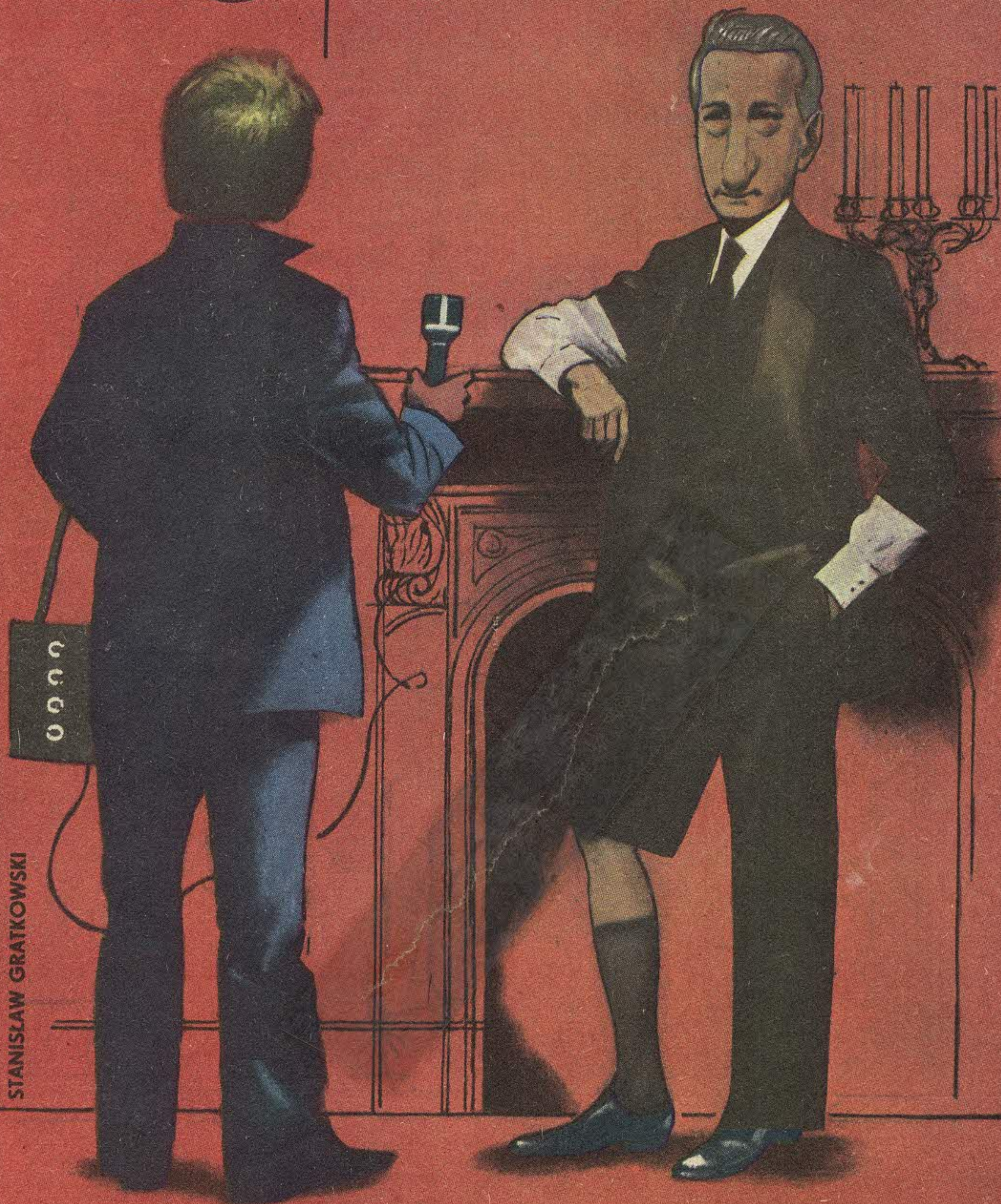
ROK XXV NR 21/597 15.XI.1981 R. CENA 8 ZŁ

karuzela



k*raj na ziemi

o nich się mówi

Antoni Rajkiewicz

minister Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych

studiował prawo w Uniwersytecie Łódzkim w latach, gdy rektorem tej uczelni był Tadeusz Kotarbiński. W myśl przysłowia „czym skorupka..." mamy prawo oczekiwać od ministra nie tylko Traktatu o Dobrej Robocie.



Zygmunt Łakomca

minister Handlu Wewnętrznego i Usług

zanim został szefem resortu odpowiadał na pytania posłów przed komisją sejmową. Z powodzeniem. Mamy nadzieję, że minister Łakomiec sprosta również pytaniom stawianym przez komisje kolejkowe.



IBIS-GRATKOWSKI

Bezczelna klientka

Pani Teresa C. z Szydłowca zapisała się z początkiem br. w kolejkę na tapczan i ostatnio, ku wielkiej radości, wybiła jej szczęśliwa godzina. Bez oporów zapłaciła 12 tysięcy z kawałkiem. Aliści już w domu okazało się, że tapczan od spodu zaopatrzono w cenę opiewającą na 7.900 złotych. Klientka odlepiła kartkę z ceną i dość hałaśliwie zażądała zwrotu „nadpłaconej" – jak się wyraziła – sumy. Tedy pouczono ją taktownie, żeby nie pyskowała, bo to nie uchodzi, ponieważ tapczan może w każdej chwili zwrócić i przekazać następnej w kolejce osobie. Zaś co do ceny prawda jest taka, że nie dotyczy ona tapczana, lecz bibliotecznego segmentu sprzed siedmiu czy ośmiu lat, który nie mieścił się w blokowych mieszkaniach i jako taki uległ rozbiórce. Z desek owego segmentu montuje się obecnie tapczany, co jest czynem wysoce gospodarnym w kryzysowej sytuacji kraju. Na takie dictum pani Teresa wycofała swoje pretensje. Nadto – by nie trafić do sądu z oskarżenia zniesławionych tapicerów i stolarzy – wyraziła zgodę na podpisanie w książce skarg i wniosków następującego tekstu:

„Oświadczam uroczyście, że nie wnoszę żadnych pretensji w sprawie spornej ceny tapczana nabytego w dniu takim a takim, a przeciwnie – za sprowokowanie konfrontacji bardzo serdecznie przepraszam „Solidarność", związek branżowy i podstawową organizację partyjną z panem Kierownikiem na czele."

Zamiast pieczywka

Na trasie Piotrków–Radom inspektorzy ruchu MO zatrzymali furgonetkę z napisem: „Przewóz pieczywa". Powód zatrzymania był uzasadniony. Zamiast świeżych bułeczek i chleba naszego powszedniego w furgonetce kimało kilku skacowanych panów. Kierowcę pouczono, że w pojazdach przeznaczonych do transportu pieczywka ludzi przewozić nie wolno.

– Przecież to są piekarze! – sprostował urażony.

Załatwianie lokatora

Okapnik jest to drewniana listwa umocowana do dolnej części framugi okna. W czasie deszczu chroni mieszkanie od zalania, czego doświadczyła pewna lokatorka w Łodzi. Administracja domu zareagowała szybko i już po paru tygodniach przysłała komisję, która stwierdziła stan faktyczny: oderwanie się okapnika od framugi. Wkrótce – po upływie dalszych tygodni – zjawiła się ekipa remontowa i postawiła fachową diagnozę: trzeba przybić okapnik, albo wyrzucić okno. Ponieważ ekipa pozbawiona była młotka i gwoździ – zdecydowano się na wymianę okna. Okno przytaszczono po dwóch miesiącach, ale było ono wypaczone i nie nadawało się do montażu. Wobec powyższego kolejna komisja orzekła, że należy jednak poszukać młotka i gwoździ, i do starego okna przybić stary okapnik. Lokatorka nie miała nic przeciwko temu, ale okapnika nikt nie chce przybić i wyjaśnia się dlaczego:

– Podczas przybijania listwy może wylecieć deficytowa szyba, wówczas nie wiadomo kto się będzie musiał starać o nową: lokatorka, ekipa remontowa, komisja czy administracja budynku?

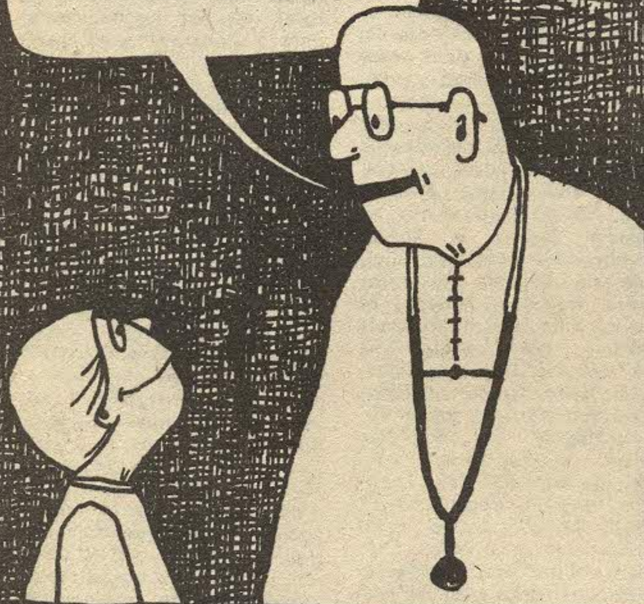
Zagrożone bodźce

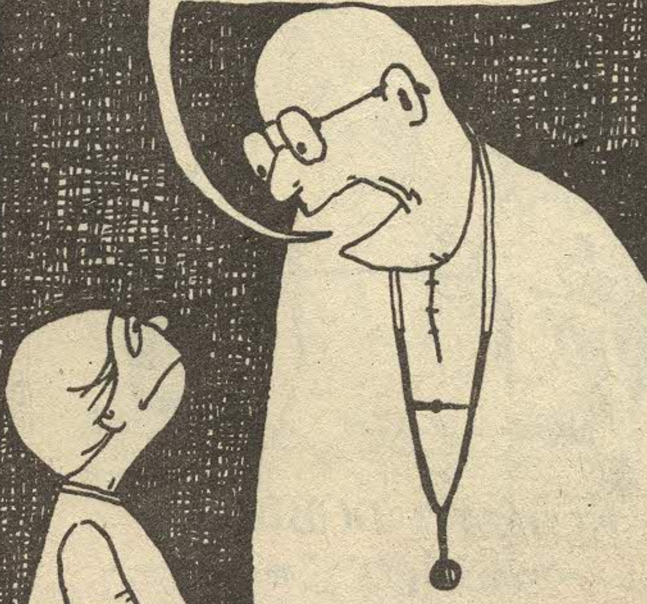
U rzeźnika w Toruniu pouczono klientkę w ósmym miesiącu ciąży, że bez kolejki kupować może u nich tylko jedna ciężarna na trzy kolejne klientki. Nie jest to jeszcze najgorzej, bowiem w Bydgoszczy jeden ze sklepów mięsnych wyznacza w kolejce ciężarnym co piąte miejsce. W ten sposób za sprawą placówek handlowych, parających się sprzedażą mięsa i jego przetworów, zanikać zacznie u nas jeden z podstawowych bodźców:

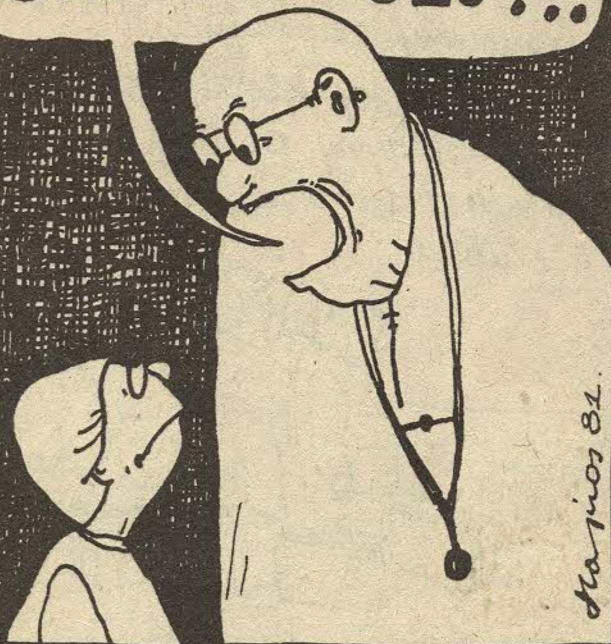
– Do zachodzenia w ciążę...

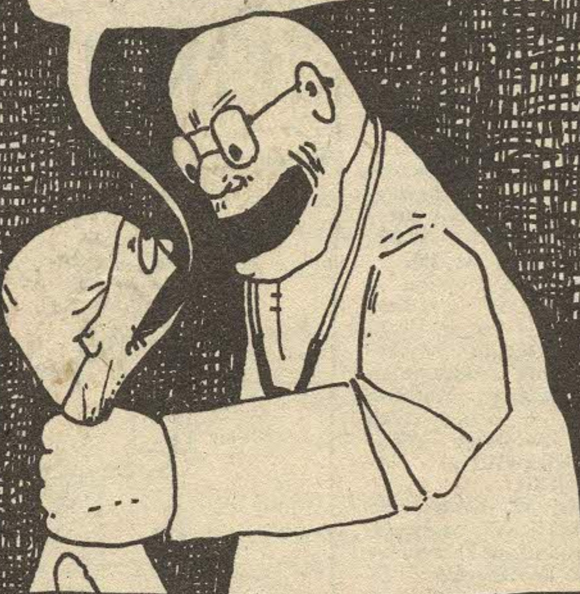


ZBIGNIEW SZULC

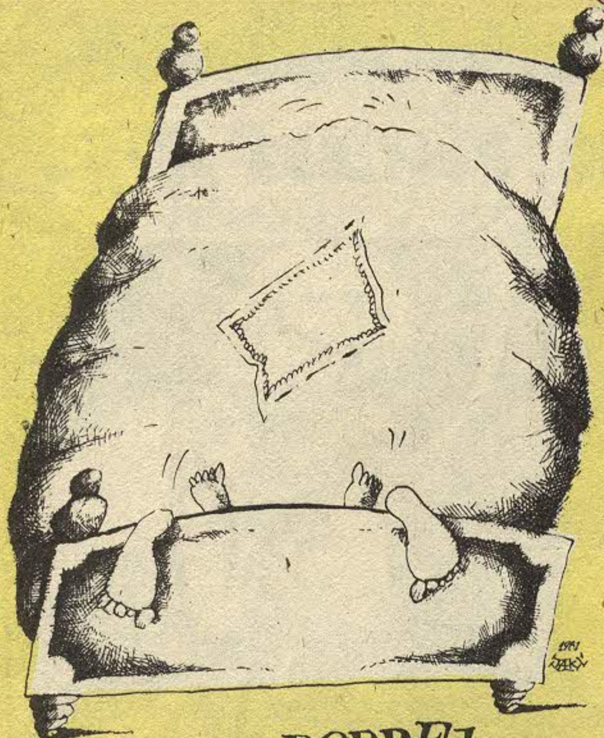








MIROSŁAW PAWEŁ HAJNOS



Dzień dobry, mówi Andrzej Waligórski z Wrocławia

Nieodłącznym fragmentem wczasów jest zwiedzanie, więc szanujący się dom wczasowy trzyma na etacie przewodnika, a ten przewodnik musi coś robić, więc goni wczasowiczów na zwiedzanie, czy jest co zwiedzać czy nie. Zresztą zawsze jest co zwiedzać, na przykład u nas na Dolnym Śląsku w każdej miejscowości wczasowej znajduje się rzekomo willa Ewy Braun, kochanki Hitlera. To znaczy wille nie znajdują się rzekomo, tylko rzeczywiście, ale rzekomo były one własnością sympatycznej pani Ewy i rzekomo z każdej takiej willi rozlegały się namiętne okrzyki młodej pary, takie jak „die Fahne hoch", „Langsam, langsam aber siecher", „Hajli hajlo", a na finisz jodłowanie w duecie. Otóż, gdyby Hitler rzeczywiście to robił w każdej willi, których jest kilkadziesiąt, to by w ogóle nie miał czasu na narodowy socjalizm, a poza tym skonałby młodo z wycieńczenia i cała historia potoczyłaby się całkiem inaczej, o czym aż strach myśleć, bo nie wiadomo w jakim ustroju byśmy dzisiaj żyli, a tak przynajmniej mamy pewność. Jak już o willach do zwiedzania mowa, to mamy tu także aż dwie wille, w których podpisano kapitulację Festung Breslau. Jedna jest we Wrocławiu na Krzykach, a druga w Pszennie koło Świdnicy i na każdej jest tablica, że to właśnie tu, i każda ma swoich zwolenników i przeciwników. Pomników też trochę mamy, bardzo ciekawych, na przykład przy ulicy Piotra Skargi stoi u nas nielegalny Kopernik, którego ktoś postawił bez centralnego rozdzielnika co jest niedopuszczalne, i za karę nie wolno było o tym pomniku pisać, chociaż wszyscy go widzieli. Tuż po wojnie było tu także sporo pomników różnych pruskich bohaterów, ale zostały rozebrane, a szkoda, bo słyszę, że teraz się męczą i stawiają nowe, na przykład Fryderyka Wielkiego, Blüchera, Gneisenaua, a to wszystko u nas było i moglibyśmy teraz opchnąć sąsiadom, a myśmy się ich tak nieopatrznie pozbyli. Co tam „pozbyli", powiem państwu w zaufaniu, że ja sam własnoręcznie rozwaliłem młotem ryja Wielkiemu Frycowi z brązu, temu wypróbowanemu przyjacielowi Polaków. Natomiast mieliśmy i owszem dochód, ale z pancernika w porcie gdyńskim, któregośmy po kawałku sprzedali Szwedom, a też się nazywał Gneisenau, bo hitlerowcy także go lubili, ot ciekawostka historyczna!

JAN KILKOWSKI

○ Czyżby i przydział na własną osobowość miał być objęty reglamentacją?

ZBIGNIEW WAYDYK

export

Słowacki tygodnik satyryczny „Rohacz" nr 37 przyniósł przekład zaczerpniętej z „Karuzeli" humoreski BOHDANA PIĄTKOWSKIEGO pod tytułem „Niezależność". Autorem przekładu z polskiego był, jak zwykle, V. Krepela.

Oczywiście, nie zabrakło i tym razem przedruków rysunków. I tak w bratysławskim czasopiśmie, o którym wspomniano wyżej ukazał się przedruk rysunku JACKA WOŹNIAKA („Rohacz" nr 35).

Nie zapomniał również o „Karuzeli" „Osten" wydawany w Skopje. I tak nr 15–16 zamieścił przegląd najcenniejszych prac nadesłanych na XIII Światową Wystawę Karykatury, a wśród nich karykatury autorstwa WIESŁAWA FUGLEWICZA i HALINY SIBIŃSKIEJ.

Następny, 17 numer tego jugosłowiańskiego dwutygodnika przedrukował rysunek satyryczny WACŁAWA POTOCZKA.



Iluminacje

— Kiedy impasowałem króla kier już wiedziałem, że leżymy — syknął Dyrektor wypłacając przegraną.

Ale Mecenas był bezlitosny:

— Niczego pan nie mógł wiedzieć, przecież to ja kontrowałem kiery, więc król powinien być przed ręką.

— Zależy, co pan Dyrektor miał na myśli mówiąc „wiedziałem" — sprzeciwił się Literat. — Mogło to nie dotyczyć przewidywania, a raczej intuicji, która stanowi wynik intensywnego działania podświadomości. Taka iluminacja, jak to określiłby Zanussi za świętym Augustynem.

Zapadła chwila milczenia.

— Jak ten świat się zmienia! — westchnął Mecenas. — Dwadzieścia pięć lat temu mówienie o podświadomości było wysoce podejrzanym odstępstwem od jedynie słusznego sposobu rozumowania. Nie wspominając już o iluminacji.

— W tym czasie inna była droga dochodzenia prawdy, bo i świat był inny — ripostował jego adwersarz. — Takie wojny religijne były wówczas pojęciem z zamierzchłej historii. Budziły skojarzenia z albigensami, Maurami i Wallensteinem. A obecnie każdemu nasuwają przede wszystkim obrazy z dziennika telewizyjnego dotyczące Irlandii, czy Iranu.

Prawnik uśmiechnął się pobłażliwie.

— Blizny pozostałe po świętej wojnie, to coś jak relikwia. Natomiast człowiek ochoczo narażający życie dla wydarcia komuś bogatych złóż guana czy łupków bitumicznych byłby śmieszny we własnych oczach. Toteż kiedy słyszę o obronie zasad, czy o Absolucie, wiem, że chodzi o ropę, bazy lub szlaki tranzytowe.

— Święta racja, tak samo jak w przypadku wyklęcia syna przez prezesa Chronicznego. Też niby poszło o pryncypia, a w gruncie rzeczy gra dotyczyła pozycji ojca.

— Co to ma wspólnego z wojnami religijnymi? — zdumiałem się.

Dyrektor wybałuszył oczy.

— To pan nie zna tej historii? Przed rokiem zakochał się starszy syn prezesa. Ojciec go wywianował, kupił mieszkanie, kiedy wybuchła bomba: panna młoda zażądała ślubu kościelnego. Pierworodny prezesowicz, osoba oficjalna. Urząd stanu cywilnego czeka po remoncie odświętnie iluminowany, a tu stryj oblubienicy, prałat od Świętego Ducha, zapewnia jeszcze większą galę i ślub rzymski. Prezes wyobraził sobie, jak klęczy w kolatorskich stallach, błyskają flesze, terkocą kamery — koniec świata! Gdyby się nie zjawił, powiedziano by, że go strach obleciał. Wtedy, gdy odwaga taniała z dnia na dzień — on miałby się bać? Wreszcie znalazł rozwiązanie. Podobno prezes rejentalnie wyklął syna do czasu pełnego wyklarowania sytuacji.

— Ujawnił tym samym takt godny Talleyranda — zauważył Literat. — Nic dziwnego, że wkrótce wysłano go na placówkę zagraniczną. Młoda para pozostała w kraju pod pieczą osoby duchownej, tata lada dzień odwoła przekleństwo bo, jak słyszałem, ma zamiar jeszcze w tym roku skorzystać z dobrodziejstwa ustawy i przenieść się na emeryturę.

— A my odkryliśmy nowy, ciekawy sposób asekurowania się w dobie wieloświatopoglądowości i inflacji. Zamiast wżeniania w majątek — koligacenie się na zasadzie: „jeśli kto ma ksiedza w rodzie..." — dorzucił Mecenas mnąc kartkę z zapisem brydżowym.

BOHDAN PIĄTKOWSKI



TUBKA

Ogolić trzeba się codziennie,
więc znowu idę do łazienki,
lecz melancholia rośnie we mnie
i pędzel mi wypada z ręki:

Na półce leży pusta tubka,
tubka po kremie do golenia,
lecz cisnę ją, udając głupka,
bo pełnej tubki przecież nie ma!

Cisnę od tyłu, cisnę z boku,
już wycisnąłem — siódme poty!
Ach, gdyby zrobić hokus-pokus
i poczuć kremu chłodny dotyk!

Z nadzieją patrzę w tubki otwór,
lecz otwór ciągle zieje pustką!
Brodę zapuszczam więc jak potwór
i już nie spojrzę więcej w lustro.

Obcęgi biorę, tubkę ściskam,
przygniatam butem parę razy
i znów na tubkę patrzę z bliska,
lecz krem uparcie nie wyłazi!

To tak jak z pensją, moi mili:
chociaż staracie się przemyślnie,
choć się ciskacie, w pewnej chwili —
już nic się więcej nie wyciśnie!

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI





ANDRZEJ STOK

Kącik normalnych

1 Zdaje się, że coś się w nas pokręciło na dobre. Jeszcze trochę i przeobrazimy się w stworzenia całkowicie nowe, a najprawdopodobniej damy początek nowej rasie „gadaczy-działaczy".

W zasadzie zachowując wygląd dotychczasowy z niewielkimi jednak zmianami (wyraz twarzy zaciekły, żyły nabrzmiałe, czoło spotniałe, palce śliskie i obleśne), w pasjach duchowych ograniczymy się już tylko do dwóch: nieustającej dyskusji i nieustających głosowań i wyborów. One to właśnie zastąpią nam wszystko: pracę i radość, ba — miłość nawet („nie da ci ojciec ani sąsiadka, tego, co da ci Komisja-Matka"). Zasługą zaś to będzie głównie naszych publikatorów, bo właśnie one postanowiły przemienić człowieka, a więc istotę wszechstronną i bogatą, otwartą na cały świat, w ustrój jednotematyczny, z klapami na oczach i uszach, nastawiony już tylko na wytrwałą gadaninę na szeroko pojęte tematy społeczno - ekonomiczno - techniczno - polityczno- - etyczno - gospodarczo - - samorządowo - problemowe.

Zaiste — świetlana błyska nam epoka, coś z gatunku science-fiction w jej odłamie katastroficzno - apokaliptyczno - idiotycznym.

2 Do umiaru w tej mierze zachęcałem już dawno, mitygując co bardziej krewkich entuzjastów odnowy, pojmowanej właśnie jako powszechne prawo do publicznego wygadania się za wszystkie czasy. Prosiłem, aby tak bardzo nie nalegali na naszą na przykład telewizję o najszerszy serwis coraz bogatszych wiadomości i o dopuszczenie do bezpośredniej wypowiedzi wszystkich chętnych, a to z powodów dwóch:

Po pierwsze — gdyż pojemność mózgowa zwykłego człowieka nie jest duża i żywiony zbyt intensywnie wiadomościami człowiek nie tylko nie mądrzeje lecz właśnie głupieje, i stopniowo przestaje odróżniać musztardę od majonezu.

Po drugie — gdyż wolność pomyślana jako powszechne prawo do osobistego zabrania głosu w telewizorze, stałaby się zamachem na wolność tych, którzy gadułów u siebie wieczorem słuchać nie chcą.

Przestrzegałem więc przed naciskami w tej mierze na telewizję, przeczuwając, że w opłakanej sytuacji dewizowej bardzo może przemówić do jej wyobraźni szansa wypełnienia ekranu bezpłatnymi głowami do gadania. Niestety, nikt mnie nie słuchał i w efekcie nic już w telewizji zwykłego i ciepłego, cienia uśmiechu i okruchu radości. Z ekranu wycieka dziennik nieustający i nieustająca zaciekła dysputa.

Tak mijają wieczory, i tak — co gorsze — przeminą nam lata.

3 To, co w telewizji zaowocowało panoramą kolorowych gadułów, w publikatorach pisanych objawiło się pełną koncentracją na tak zwanych problemach. W efekcie, w przeciętnej gazecie, jeszcze tylko nekrologi mają w sobie coś żywego. Cała reszta to kolejne ewolucje tego samego problemu-giganta. Rośnie on jak drożdże, wycieka z gazet i stopniowo zżera mózgi czytelników, którzy już zdaje się zapomnieli, że choć dyskusja oczywiście jest ważna, to przecież bez dyskusji jednak można żyć. Zapomnieli też chyba, że oprócz problemów, świat i życie składają się również z kształtów, zapachów i kolorów. Nic już nie znajdziesz w gazecie do poczytania, jakąkolwiek otworzysz — już tam na ciebie czeka problem.

No więc proszę bardzo. Emitujcie i drukujcie to sobie skoro macie nadajnik i papier, ale na oklaski nie czekajcie. Oklaski to ja rezerwuję już tylko dla odgłosów przyrody, a więc kiedy mucha zabrzęczy, kiedy komar zajęczy albo pies zaszczeka w oddali.

JANUSZ PRZYBYSZ





Dyskurs w szczycie

– Czy wie pan, panie naczelniku – zwracam się do Naczelnika Stacji w Karsznicach TADEUSZA SITKA – że kolejarze nie cieszą się ostatnio najlepszą opinią w odczuciu społecznym?

– Dziennikarze również.

– Z koleją podobno jeszcze nikt nie wygrał?

– A z prasą?

– No dobrze, ale wy w okresie jesiennym rozsypujecie po torach tysiące ton zboża, a dziennikarze nie.

– Bo my pszenicę, jęczmień i kukurydzę musimy wozić uszkodzonymi wagonami.

– Kto was do tego zmusza?

– Sytuacja.

– Oczywiście obiektywna, znamy tę śpiewkę, każde niedbalstwo usprawiedliwia się u nas sytuacją. Magistrala Tarnowskie Góry – Karsznice – Bydgoszcz – Gdynia czarna jest od miału węglowego, linię Medyka – Rzeszów – Kraków pokrywa kilkunastocentymetrowa warstwa rudy, wszystkie pozostałe trakty obsiewane są zbożem, co oznacza w praktyce, że szczyt jesienny na kolei jest szczytem marnotrawstwa.

– Ale nie z naszej winy.

– A z czyjej?

– Jeszcze do niedawna ładowano i rozładowywano wagony przez cały tydzień, często także w niedzielę. Obecnie te operacje zamierają w okresie weekendów, choć kolei na ten czas nie staje.

– Ba, lecz o ile mi wiadomo w bieżącym roku arteriami PKP przepływa znacznie mniej towarów niż w ubiegłych latach, tymczasem wiele wagonów zamiast być wyłączone z pociągu zbiorowego na stacji przeznaczenia jeździ sobie z towarem w tę i z powrotem.

– Rzeczywiście, zdarzają się takie przypadki, niestety, z powodu braku ludzi liczne pociągi towarowe są obsługiwane zaledwie przez jednego członka drużyny konduktorskiej.

– Ale to chyba nie z tego powodu z roku na rok przedłuża się czas przejazdu naszych pociągów?

– Cóż, na niektóre szlaki wracają parowozy, gdyż w naszym kraju mimo wszystko o węgiel łatwiej niż o ropę do lokomotyw spalinowych.

– Czyżby więc z tego powodu nie chciało się kolei przewozić towarów na odległość mniejszą niż sto kilometrów?

– Przepraszam, od kilku miesięcy przyjmujemy już przesyłki do przewozu na odległość ponad trzydzieści kilometrów.

– Miło mi słyszeć, że i na kolei wraca nowe.

– Mnie także miło, że prasa to dostrzega.

– Dostrzega nawet, że pociągi kursują nie tylko coraz wolniej, lecz i niepunktualnie. Kiedyś podobno zegarki można było regulować wedle przejazdów pociągów.

– Zegarków wtedy było mniej niż pociągów.

– Bardzo przepraszam, czy pan nie musi mieć przypadkiem zgody swych przełożonych na rozmowę z dziennikarzem?

– Nie, u nas, na kolei, każdy dokładnie wie co ma robić i co ma mówić.

– Na odprawy do dyrekcji jeździ pan zapewne salonką?

– Ja nie wiem nawet jak salonka wygląda.

– Widzę, że pan sobie ze mnie wyraźnie żartuje, proszę więc o jakiś lepszy dowcip na temat kolejowy.

– Praca na kolei jest sprawą bardzo poważną, niemniej i kolejarzom nieobcy jest humor, co prawda raczej czarny. Ostatnio kursuje w naszym środowisku następująca anegdota: do wagonu wchodzi pasażer, wyjmuje szklane oko i podrzuca je do góry.

– „Panie, co pan robi?" – pyta drugi pasażer.

– „Chciałem zobaczyć, czy przypadkiem w drugim końcu wagonu nie ma wolnych miejsc".

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
Karol Badziak

ZYGMUNT FIJAS

WYPRAWA PO GRZYBY

Wchodziliśmy już w głęboką jesień i musiałem przywieźć od pana Kałtaraka obiecany mi słój marynowanych rydzów. Poznaliśmy się przypadkowo na grzybobraniu, z tym, że jemu szło znakomicie – mnie podle. Mój nowy znajomy wynosił z lasu dwa duże kosze, ja zaledwie trzy surojadki, dwa maślaki i jednego robaczywego koźlarka. Wrzuciłem przeto ten nędzny łup do koszyka pana Kałtaraka, czym pozyskałem jego sympatię i zaproszenie do odwiedzin po słoiczek grzybków. Nie wiedziałem, czy praca zainwestowana w marynowanie wpłynie na zmianę tej wielkodusznej decyzji, ale, myślałem, spróbować nie zawadzi.

Pan Kałtarak zamieszkiwał osiedle położone hen, na krańcach miasta. Pieszo, czyli jak to niegdyś mawiano per pedes apostolorum szłoby się tam ze dwie godziny, ale drogę tę odbytą tramwajem – zważywszy kłopoty z częściami zamiennymi, na które cierpi nasz przerzedzony miejski tabor – obliczałem zaledwie na dziewięćdziesiąt minut.

Jakoż po upływie półtorej godziny już wyjeżdżałem na ósme piętro wysokiego bloku, gdzie zamieszkiwał mój grzybiarz. Zastałem go opatulonego kocem, szczękającego zębami, bo awaria instalacji odcięła go od źródła pary zwanego elektrociepłownią. Zziębnięty pan Kałtarak wyglądał jak wcielenie siedemnastu nieszczęść i wypuszczał z ust kłęby dymu z fajki napełnionej zapewne kalafonią, mentolem, kłączami tytoniu i chyba też pieprzem oraz tak zwanym kadzidłem armeńskim, którego dawniej używano do tłumienia odorów w mieszkaniach zagrzybionych.

– Ładnie, że pan przyszedł – wymamrotał. – Niech-no pan posłucha...

Trochę zdziwiony nastawiłem uszu, choć i bez tego zabiegu stało się dla mnie jasne, że ktoś na wyższym piętrze przesuwał szafę; a na dole, może na parterze, ktoś inny grał na trąbie – i chyba równocześnie ubijał lub deptał kapustę. Natomiast za ścianą jakiś bas ryczał takim grubym głosem jak najniższa nuta brana na kontrafagocie:

„Umrzyla gorolka goooorollllowi.
Gorol byl rod, gorooolll sie śmiol,
jeszcze ji po śmiurzci ha huślach grol".

– To góralska piosenka chyba z żywieccczyzny albo spod Cieszyna – zauważyłem. – Huśle to gęśle. Zakopiańscy górale tak smutno nie śpiewają o śmierci żony. Czyli „śmiurzci".

– Pies to deptał czy śpiewają: „umrzyla", czy „umarła". Niech-no pan posłucha...

Nie musiałem przykładać ucha do ścian czy do podłogi aby słyszeć kłótnię i kwiki jakiegoś poważnionego małżeństwa, bulgotanie wody spuszczanej z wanien, ryki telewizorów i szatański chichot mężczyzny przerywany skrzypieniem kanapy, na co zwróciłem szczególną uwagę.

Pan Kałtarak wyjęczał:

– To mieszkający na piątym piętrze student szkoły teatralnej ćwiczy ze swą koleżanką duszenie szekspirowskiej Desdemony przez Otella. Ćwiczy na kanapie z importu. Ale mnie wcale nie o to chodzi. Niech–no pan się dobrze wsłucha...

Wysłuchałem przeto jeszcze warczenia kilku psów, stukania młotków w rękach szoferów naprawiających swe benzynowe hulajnogi, przeraźliwego trzaskania drzwiami windy, wysłuchałem pieśni „Ninol, ach, uśmiechnij sia, urrrak twaich lic oszałamia mnia", ale pan Kałtarak był nieukontentowany, aż wreszcie warknął na mnie bezceremonialnie:

– Skoro pan nic nie słyszysz, to idź pan do diabła!

– Drogi panie – starałem się go udobruchać – a czegóż to mam słuchać?

– A tego, co mi skwierczy w płucach. Azali nie jest to wirusowe zapalenie?

– Jeżeli coś w ogóle skwierczy – pocieszyłem go – to ta pańska fajka...

– To nie fajka – rozwścieklił się pan Kałtarak – to przyrząd do inhalacji. Jaki z pana lekarz?

– Nie jestem lekarzem – wyjaśniłem grzecznie, acz stanowczo.

– Więc pan nie z rejonu?

– Z jakiego tam rejonu. Przyszedłem po obiecany słoik marynowanych grzybków. Nie pamięta pan, że poznaliśmy się na grzybobraniu?

– To pan źle trafił, bo ja właśnie czekam na lekarza – poinformował mnie nieco łaskawiej pan Kałtarak. – A grzybów nie ma i nie będzie, bo fabryka octu strajkuje, o czym zresztą mówili przez radio. Pan nie słyszał?

– Nie słyszałem, bo mam radio na bateryjki, a w zakładach bateryjkowych też ponoć konfrontacje. A co pan zrobił z tymi grzybami?

– Pańskie wyrzuciłem, bo były robaczywe. A moje poddusiłem i zjadłem. Ale pan wybierając się do mnie po grzybki wsadził z pewnością do kieszeni jakieś spirytualia...

– Niestety, moje przydziałowe pół litra podzieliło los pańskich grzybków.

– Czy pan chce przez to powiedzieć, że je pan udusił?

– Nie, raczej rozduszono mi je w kieszeni, kiedy w straszliwym tłoku przez półtorej godziny wojażowałem do pana – powiedziałem już od drzwi i z godnością opuściłem niegościnnego grzybiarza. □

PROPORCJE

Źle działo się w kraju, bo –
Nierównyśmy podział mieli.
Dziś równość, znikło więc zło,
Szkoda, że nie ma co dzielić.

BOLESŁAW GRODZICKI

WACŁAW POTOCZEK

STAJNIA AUGIASZA

OGŁASZAM
KONKURS
NA STANOWISKO
DYREKTORA
STAJNI

WARUNKI:
1.
2.
3.

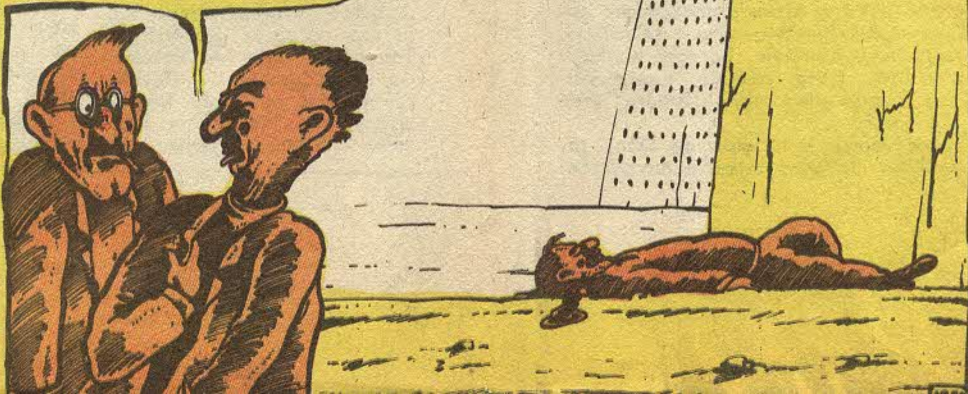
AUGIASZ

POTOCZEK

1981

...JAK MI ZNÓW ZAUFASZ
TO DOSTANIESZ
DWIE KOŚCI....

..SĄ DWA WYJŚCIA....
ALBO GO SKOPAĆ
ALBO PODAĆ MU
RĘKĘ..........



ACETAL

MUTAROTACJA

Kiedy wszedłem do pracowni, rozpoczynały się właśnie ćwiczenia studentów drugiego roku; przy biurku magister Przelotna maltretowała pytaniami jakąś sympatyczną dziewczynę.

— Przepraszam, że ci przeszkadzam — przerwałem kolokwium — ale zapomniałaś oddać na portierni klucz do IR; nie mogę tam wejść.

— Już kończymy. Niestety — Krystyna z surowym wyrazem twarzy zwróciła się ponownie do studentki — jeśli pani nie wie nawet, że 1,2-anhydro-3,4,6-trójacetylo-α-D-glikoza, ogrzewana łagodnie razem z 1,3,4,6-czteroacetylo-D-fruktofuranozą, daje w wyniku reakcji ośmiooctan α-D-glikopiranozydo-β-D-fruktofuranozydu, z którego drogą hydrolizy można otrzymać odpowiedni dwusacharyd, nie mogę pani dopuścić do zajęć praktycznych. To bardzo ważna, klasyczna dzisiaj synteza, po raz pierwszy dokonana przez Lemieux w roku 1953, potwierdzająca wcześniejsze przypuszczenia odnośnie stereochemii związku.

Studentka z markotną miną pozbierała zapisane kartki i odeszła, a ja zająłem opuszczone przez nią krzesełko.

— Czy przypadkiem trochę nie przesadziłaś? Chociaż w swoim czasie przez prawie dwa lata pracowałem nad sacharydami, czuję, że mógłbym łatwo oblać u ciebie kolokwium, bo przecież takie szczegóły szybko wylatują z pamięci. Jak więc, u licha, ma zdać student, który na przygotowanie do wszystkich ćwiczeń poświęca w najlepszym razie trzy do czterech godzin? — zagadnąłem sceptycznie.

— Nie „mógłbyś oblać" tylko po prostu byś oblał — oświadczyła Krystyna — bo sacharydy to na tyle obszerny i w dodatku głównie pamięciowy materiał, że jeśli egzaminator dobrze poszuka, zawsze znajdzie dziurę w całym.

— A czy wolno wiedzieć, czemu się tak wygłupiasz? — spytałem, trochę zirytowany.

— Mój drogi — Krystyna wpadła w swój ulubiony ton wyjaśniania sprawy kompletnemu laikowi przez osobę wyśmienicie poinformowaną — od początku roku akademickiego nie pozwoliłam nikomu wykonać takich ćwiczeń jak: „wpływ stężenia jonów hydronowych na szybkość mutarotacji glikozy" oraz „badanie rzędowości reakcji hydrolizy sacharozy", ponieważ w magazynku nie ma ani grama tych związków. Jak wiesz, oba nadają się do słodzenia herbaty. Podniosłam poprzeczkę na kolokwium, studenci lepiej opanują ten temat, ja sama musiałam się mocno podciągnąć... a po udanej kampanii cukrowniczej zdadzą wszyscy.

— W przyszłym semestrze — dodała ironicznie, widząc mój kwaśny uśmiech — prowadzisz analizę ilościową. Zobaczymy, jak poradzisz sobie z miareczkowaniem argentometrycznym, skoro azotanu srebra też zabrakło. Radzę ci przygotować wyjątkowo perfid ne pytania, bo cukru będzie trochę więcej pod koniec roku, ale srebro na pewno nie stanieje ani u nas, ani na Zachodzie.

— W twoich ćwiczeniach z potencjometrycznej analizy strąceniowej także używa się azotanu srebra — zauważyłem nie bez satysfakcji, po czym, już w najlepszej zgodzie, wspólnie zestawiliśmy listę doświadczeń, przy których brak odczynników zmusi do intensywnej pracy nad teorią najpierw nas, a później studentów.

— Czy nie sądzisz — spytała Krystyna, gdy z kluczem w kieszeni zamierzałem wreszcie opuścić salę — że braki ekonomiczne spowodowały podniesienie poziomu wypowiedzi ekonomistów, podobnie jak braki odczynników podniosły poziom na naszych kolokwiach?

— Zgadza się — przytaknąłem — ale, niestety, tak jak i u nas, również ekonomistom młodego pokolenia nieźle przygotowanym teoretycznie trudno jakoś docisnąć się do zajęć praktycznych. □

JAN GORĄCY

LUDZIE Z MARMURU

Wezwał mnie Naczelny.

— Źle, inżynierze Kopacz. Zawaliliście nasz plan!

Osłupiałem.

— To jakaś pomyłka, panie dyrektorze. Wykonaliśmy plan w stu siedmiu procentach.

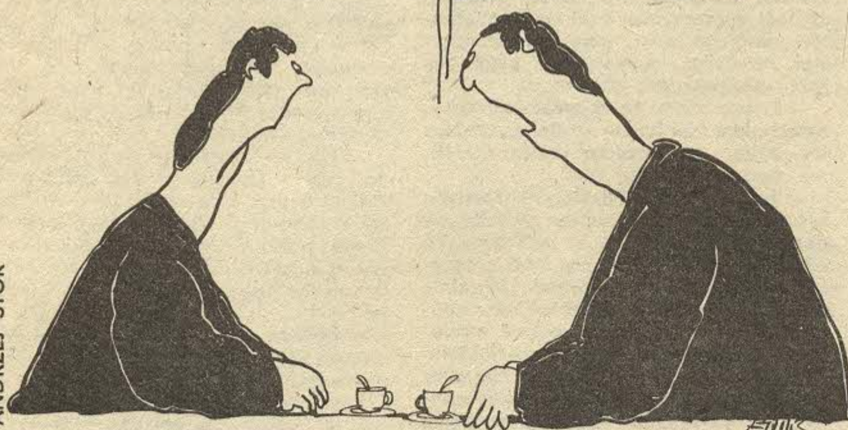
— I w tym rzecz, inżynierze! Wykonaliście swój plan, ale zawaliliście Nasz Plan. Jak wiecie przedsiębiorstwo nie było w stanie wykonać założonych zadań. Strajki, braki w zaopatrzeniu, spadek dyscypliny, 35 procent wydajności pracy, załogi na chorobowym i tak dalej. Góra ze zrozumieniem podeszła do naszych zaległości. Inne brygady też potrafiły się znaleźć, dzięki czemu zaawansowanie planu nie przekracza sześćdziesięciu procent. Tylko wy ze swoją brygadą! Jak wściekli kopiecie doły pod fundamenty, zakładacie szalunki, nic tylko lać cement, ale cóż kiedy przedsiębiorstwo nie ma mocy przerobowych. Nic się nie stanie, jeżeli wyślę sprawozdanie za miesiąc, a wam dołożymy taką robotę, że nie bekniecie. Dzięki temu już nie zawyżycie wykonu. Dla naszego wspólnego dobra, inżynierze! Rozumiemy się?

— Rozumiemy się — wymamrotałem.

Wróciłem do brygady. Zrelacjonowałem rozmowę.

— To on nas nie zna! — podsumował majster Glazura ze związków branżowych. — Po nocach będziemy harować, a plan wykonamy. No nie, chłopaki?

Wczoraj poinformowano nas, że będziemy wysłani na budowę do Górnej Wolty. Żeby nie psuć wskaźników. □



ANDRZEJ STOK



GRZEGORZ SZUMOWSKI

LECH NIEKRASZ

KOPENHAGA MOJA MIŁOŚĆ

(List z Danii)

Kiedykolwiek wpadałem do Kopenhagi — a zdarzyło się to już parokrotnie — zawsze odnosiłem wrażenie, iż jest to miasto, w którym chętnie bym czas jakiś pobawił. I nie sądzę, bym w tym moim skrytym marzeniu był odosobniony: z pokładu przepływającego Cieśniną Sund statku stwierdziłem kiedyś, iż co minuta zawisa nad kopenhaskim lotniskiem Kastrup jakiś gotowy do lądowania samolot i to nie tylko ze znakami Scandinavian Airlines System (w skrócie SAS).

Wkrótce potem pasażerowie tych samolotów oglądają na placu przed pałacem Amalienborg paradną zmianę warty Gwardii Królewskiej. Inni gnają na Langelinie, by sfotografować się w towarzystwie Lille Havfrue, czyli kopenhaskiej syrenki, która od 68 lat pozuje cierpliwie na kamieniu do zdjęć. Innych jeszcze spotkać można w którymś z siedemdziesięciu blisko muzeów Kopenhagi, przy czym na każde z nich, jak wyliczyłem szacunkowo, przypada najmniej z pięć lokali gastronomicznych, nie mówiąc już o sklepach spożywczych, które oferują m.in. kanapki — specjalność — z plastrem gotowanego buraka ćwikłowego. Pożywić się w Kopenhadze mogą jednak nie tylko jarosze tudzież wegetarianie.

Mniej wybredny element napływowy tłoczy się natomiast w porno shopach przy Lavendelstrae, opodal purytańskiego w swej nordyckiej architekturze ratusza, a także w fotoplastikonach, gdzie za jedyne parę koron pokazują seks we wszystkich możliwych i, zdawałoby się, niemożliwych wydaniach z sodomią i nekrofilią włącznie. Cóż, de gustibus... Nie należy wszak zapominać, iż to właśnie Kopenhaga gościła lat temu z dziesięć międzynarodową rewię seksu!

Byłbym jednak zdania, iż seks w Kopenhadze — podobnie jak futra grenlandzkie, porcelana chińska, meble, szkło, antyki i inne wyszukane dobra — jest przede wszystkim na eksport. Rodowity, spokojny, zrównoważony i stroniący, jak się wydaje, od gwałtownych emocji Duńczyk woli Lavendelstrae Tivoli, gdzie wznoszą się chińskie budowle, grają orkiestry, popisują się akrobaci, wirują karuzele, strzelają sztuczne ognie i podają podsłodzonego śledzia. Oczywiście, w chwilach wolnych od zajęć, gdyż w godzinach pracy ludzie w wieku produkcyjnym budują statki, montują auta i telewizory, szyją buty, handlują, liczą w bankach pieniądze, tkają, heblują, toczą, szlifują i warzą piwo marki „Tuborg" oraz „Carlsberg".

Znamienne, iż turystów do Danii zapraszają nie tylko agencje turystyczne:

czynią to również i te dwa znane w świecie piwoszów browary, które wydają w formie reklamowych folderów plany Kopenhagi. Z folderu firmy „Tuborg": „Zastój jest regresem". Z folderu firmy „Carlsberg" dowiaduję się natomiast, iż dzienna produkcja wynosi 4 (słownie: cztery) miliony flaszek, którą to wielkość uzupełnić należy liczbami 1,4 miliona butelek oraz 350 tysięcy puszek piwa dziennie na eksport. I stąd uzasadniony jest napis nad bramą do browaru „Carlsberga": „Laboremus Pro Patria". W interesie ojczyzny, jak sądzi właściciel tego browaru, jest bowiem zapewnienie każdemu Duńczykowi co najmniej jednej flachy piwa dziennie. Różnie, jak widać, można pojmować interesy ojczyzny...

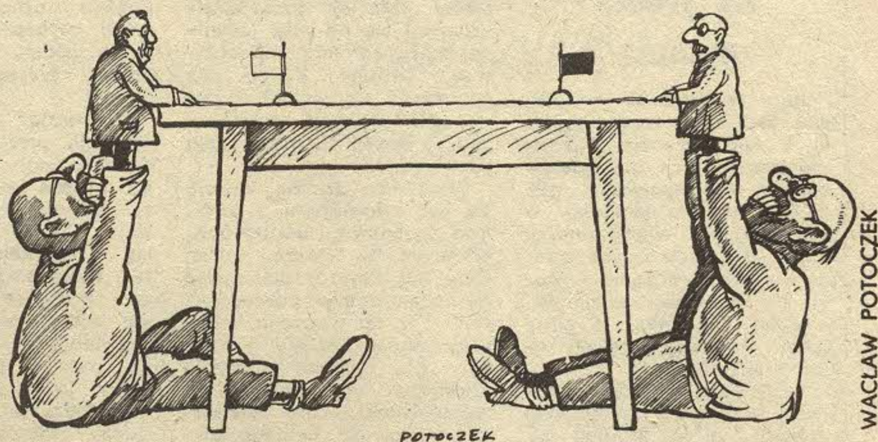
Ale „Carlsberg" nie tylko warzy piwo, lecz również funduje Kopenhadze a to posążek syrenki, a to znów gliptotekę pełną dzieł sztuki egipskiej, etruskiej i rzymskiej, nadto duńskiej i francuskiej. Tutaj właśnie oglądałem oryginał głośnej kompozycji rzeźbiarskiej Auguste'a Rodina „Mieszczanie z Calais". Wspominam o tym bynajmniej nie po to, by agitować naszych piwowarów z Żywca i Okocimia do stawiania z funduszu zakładowego pomników tudzież wypełniania galerii dziełami sztuki światowej...

Osobliwością tej silnie uprzemysłowionej wbrew pozorom metropolii są parki. Jeden z nich był w latach 30-tych scenerią bardzo osobliwej sytuacji: otóż jacyś dwaj mężczyźni naśmiewali się z widoku konnego jeźdźca, który nie wydał się im najlepszym kandydatem na ułana. Nazajutrz o piątej rano do numeru hotelowego, w którym bawili owi dwaj panowie, zapukała policja duńska, nakazując im opuszczenie terytorium królestwa w ciągu dwudziestu czterech godzin. Okazało się, iż mają oni na sumieniu despekt, jakiego dopuścili się bezwiednie wobec samego księcia, który ujeżdżał w parku dzianeta. I do dziś najstarszy z żyjących kapitanów naszego wielkiego rybołówstwa, Wiktor Gorządek, opowiada nie bez poczucia dumy o tym, jak go sam następca tronu z Danii wyrzucał!

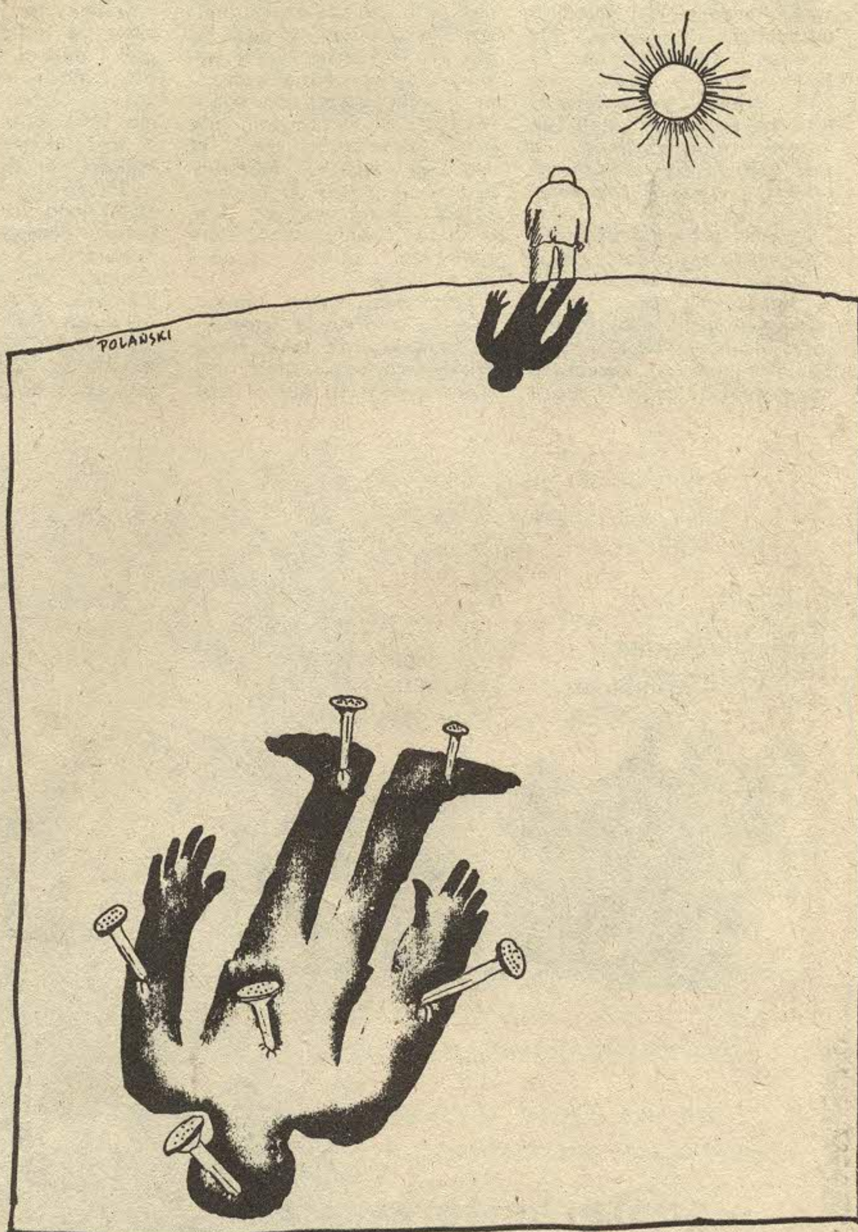
Wieczorem trzeba się udać na Nyhavn, by w cieple kobiecych spojrzeń łyknąć whisky i posłuchać ściągających tu z całego świata wilków morskich. Amatorzy mają okazję zaciągnąć się marihuaną, bądź zlecić na miejscu wytatuowanie sobie na piersi czy innej dowolnej części ciała morskiego smoka albo też napisu w rodzaju „I love you Mary". Niestety, piwo duńskie jest tak przednie, iż na tatuaż z Nyhavn zabrakło mi po prostu koron i dlatego nie mam dowodu na to, iż faktycznie tam byłem, piwo i whisky piłem oraz relacji z dalekich mórz i oceanów słuchałem... □

MIŁOŚĆ BEZ WZAJEMNOŚCI
W demokracji zakochani – dyktatorzy i tyrani.

LECH KONOPIŃSKI



WACŁAW POTOCZEK



MAREK POLAŃSKI

Odpowiedzi na proste pytania

Jerzy Andrzejewski odnotował kiedyś w swych zapiskach „Gra z cieniem": „Twarze telewizyjnych prezenterów otwarte i sympatyczne, gdy przekazywali wiadomości o znamionach wiarygodności, teraz, skoro owe ważne sprawy ulegają zamąceniu — stały się sztucznie zamknięte, chłodne i niemiłe, a głosy jakby nagrane, niestety — atrapom".

Wrażliwość właściwa pisarzowi pozwala mu szybciej odebrać, a także ująć we właściwe słowa to, co my, zwykli śmiertelnicy zaledwie odczuwamy intuicyjnie, nie umiejąc skonkretyzować i sformułować. Istotnie, nawet moi ulubieni prezenterzy i lektorzy telewizyjni stali się sztywni, niesympatyczni, a jeśli próbują się uśmiechnąć, to jest to uśmiech człowieka, którego bolą zęby.

Kwestia wiarygodności serwisu telewizyjnego ciągle wraca na łamy prasy, wraca w dyskusjach, listach czytelników, głosach telewidzów i radiosłuchaczy. Nowy prezes Radiokomitetu postanowił wziąć byka za rogi. W swych pogadankach pod tytułem „proste pytania" przełamał anonimowość swych poprzedników (Maciej Szczepański ukazywał się na wizji jedynie po to, by zgromić społeczeństwo, Zdzisław Balicki nie pokazywał się wcale) i postanowił nawiązać stały kontakt ze swymi klientami, czyli telewidzami.

Władysław Loranc wydaje się być człowiekiem kulturalnym, spokojnym i bardzo opanowanym, a także takim, który ma zwyczaj przemyśleć to, co ma zamiar powiedzieć. Nie robi też wrażenia człowieka, który działa w pośpiechu. Ale sprawia wrażenie człowieka oderwanego od rzeczywistości i nie nawykłego do polemik. Dlatego chyba wszedł na nie najspokojniejszą i nie najbezpieczniejszą dla publicysty drogę. Bo oto już w trzecim bodaj wystąpieniu, wprawdzie wyciszony i umiarkowany ton wypowiedzi się nie zmienił, ale jakże zmieniła się treść. W swych prostych (?) odpowiedziach na proste (?) pytania, zaczął używać mocnych słów, a także domniemywań, które prowadzą donikąd, a może nawet dalej.

Odpierając zarzut manipulowania informacją telewizyjną powiada, że takie zarzuty stawiają ludzie, którzy najpierw gotowi są dać w mordę, a później szukać powodu dla swego postępku. Przypuszczam, że korespondenci prezesa używają znacznie mniej wybrednych słów w swych listach, ale — noblesse oblige, prezesowi nie wypada.

Odpierając zarzuty skrajnej opozycji, prezes zaperza się do tego stopnia, że suponuje: a może jeszcze powiedzą, że to my spowodowaliśmy wojnę, że to my wysadziliśmy w powietrze Warszawę, że... Panie prezesie, nie uchodzi. To nie są argumenty, to nie jest metoda, która przemówiłaby do kogokolwiek. To jest metoda rodzinnej kłótni, gdzie jak wiadomo ludzie nienawidzą się najbardziej i tracą kontrolę nad słowami.

Trudno też przyjąć argument, że radio informuje lepiej i pełniej, bo w czterech programach ma 40 dzienników, a telewizja w dwóch ma tylko cztery. Nie chodzi o ilość informacji, o ich rozległość, chodzi o WERSJĘ wydarzeń. Jeżeli w radiu słyszymy inną niż w telewizji na temat powiedzmy Olsztyna, Konina czy Szczygłowic, a ta „inność" ma zawsze ten sam kierunek, tę samą tendencję, to chyba nie o czas na antenie chodzi. I niech pan nie mówi, że trzeba zachować pamięć o dobrych intencjach nawet, gdy zaprzeczają im fakty(!). Czy pan zdaje sobie sprawę co to znaczy?

Wyobrażam sobie, że to, co ludzie piszą do telewizji bywa okrutne, niesprawiedliwe i ordynarne. Ale marginesy społeczne też wyrastają na określonej glebie, a wdawanie się z nimi w polemikę jest niepotrzebne i niebezpieczne, bo prowadzi do odruchowego przyjmowania ich stylu, ich zacietrzewienia. A więc stawiania się z nimi na jednej płaszczyźnie.

A przecież i radio i telewizja otrzymują listy od wielu osób rozsądnych i mądrych. W jednym z wydań „Sygnałów dnia" wiceminister Łakomiec dyżurował pod telefonem, a tematem były sprawy bardzo drażliwe, bo żywnościowa. Min. Łakomiec przekazał potem uwagi swych rozmówców. Były to uwagi i propozycje rozsądne, poważne, warte rozpatrzenia, pochodzące od ludzi szczerze zatroskanych, pragnących, by w kraju było lepiej.

Jeżeli prezes Radiokomitetu takie listy otrzymuje, to może raczej niech się nimi zajmie. Jeśli nie otrzymuje, to może zastanowi się dlaczego.

TERESA





gastarbeiterzy

IBIS-GRATKOWSKI



Czesław Bobrowski

Ekonomista wysokiej klasy
Bez względu na czasy.

LANCET

WŁADYSŁAW KATARZYŃSKI

Kartka z kalendarza

I zanim się obejrzał człowiek
Zniknęło lato – nie kłopoty
Już jesień.
„Złota" w cudzysłowie
Zwana tak od nadmiaru złotych.

Słońce pomarańczowo błyska
Parasol jednak z szafy wyjmij
W powietrzu wisi coś...
Chmurzyska?...
Nie!
Ciągnie się nawis inflacyjny.

Chociaż jesieni właśnie pełnia
I zima jeszcze tak odległa
Już czujesz dreszcze!
Więc uszczelniasz
Drzwi
Okna
Szpary
Szklany ekran...

Potem rozgrzewka
Niczym Tarzan
Robisz wymachy zamaszyście
I zrywasz kartkę z kalendarza
Jesień na kartki...
Liście, liście...

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

Tren na śmierć pluszowego niedźwiadka

Jeszcze do wczoraj było dobrze;
każdemu według jego potrzeb!

Żyły w symbiozie różne branże,
moc komponentów było tamże...

Nikt nie zawracał sobie głowy
problemem wsadów dewizowych.

Dziś, gdy kłopoty są z okrzemkiem
na widok kufla nawet nie drgnę.

Jak szło o ropę pod Karlinem,
sprzedałem starą limuzynę...

Omijam także pewne dziewczę,
co z wsadem chce, bez wsadu nie chce!?

Jeśli coś jem, to jednym zębem,
wszak ciągle idzie mi o kredę!

Kiedy w czym nie ma przywieźć mleka,
karnie w kolejce z dzbankiem czekam,

a rękę wciąż przy każdej zwadzie
na dewizowym trzymam wsadzie,

bo faktem stało się od dzisiaj,
że nawet szyte u nas misie

nie chcą mieć w brzuchach wiórków z sosny,
lecz z drzew, co w innej strefie rosły...

Więc prezes firmy „TWÓJ NIEDŹWIADEK"
o dewizowe walczy wsady,

gdyż mu powiedzieć, ponoć miały:
Sam każ się wypchać trocinami!

Marząc, by tren ten zgodnie z trendem
dostępny był pod każdym względem,

każdemu, co go zechce czytać –
„bruyerkę" mą bez wsadu pykam...

Nie pijam win krajowej marki;
żal mi po prostu polskiej siarki.

Nie mam ... Nie muszę, Redaktorze!
Nie śpiewam – Morze, nasze morze!?

Ale sprzeciwiam się zasadzie:
POWROTU Z WSADEM LUB NA WSADZIE.

. . . .
. . . .

I na tych słowach, jak widzicie
wiersz jakby urwał się w pół śladu...
W piórze autora... Samo życie!
Dewizowego zbrakło wsadu.

kartki z blekotnika



KAZIMIERZ KUPIEC

WCIĄŻ MNIE NURTUJE CZY JAK UPRAWIAM GLEBĘ, TO NIE MIESZAM SIĘ DO POLITYKI, (CHOCIAŻBY ROLNEJ)

JACEK FRANKOWSKI

Recesja

Właśnie miał się rozpocząć przedwojenny dramat produkcji polskiej „Gehenna", kiedy Jacek wrócił z wycieczki i wprowadził rower do pokoju.

– Co ten rower tu robi? – zapytała babcia dla porządku.

– Mam przy nim robotę – odpowiedział Jacek.

– Nie teraz – zaprotestowała babcia. – Teraz oglądamy film. Nie zdążyłam zobaczyć go przed wojną.

Jacek ostentacyjnie opuścił pokój wraz z rowerem, a wszyscy pogrążyli się w oglądaniu tragicznych losów pięknej panny Ani, która mogła wyjść za młodego, przystojnego i bogatego autentycznego księcia, pana Andrzeja, ale życie jej złamał okrutny stryj – degenerat. Co zresztą było do przewidzenia od początku filmu, dzięki wróżbie starej Cyganki.

– Chociaż nieprawdziwe, ale wzruszające – siąknęła nosem ciocia Helenka, kiedy stryja – degenerata zabrała policja, a na ekranie ukazał się napis: koniec.

– Czy ta Mniszkówna wszystko musiała kończyć na smutno? – sceptycznie zapytała Lila.

– Salonowy romans powinien kończyć się smutno. A zresztą, jeśli ludzie mają pieniądze, tytuły i pałace, to chociaż w miłości powinni być nieszczęśliwi, bo by im było za dobrze – Konio okrasił swą wiedzę o literaturze wiedzą o sprawiedliwości społecznej.

– Takie to już wszystko ograne – skrzywiła się Lila.

– Nie zapominaj, że ten film ma przeszło czterdzieści lat – ujęła się za „Gehenną" babcia. – Przez ten czas dużo rzeczy się ograło.

W pokoju pojawił się Jacek z rowerem.

– Co się stało? – zapytał dziadek. – Przecież to prawie nowy rower.

– Będę go przerabiał, chciałem, żeby mi Konio pomógł – wyjaśnił Jacek.

– Na co będziesz przerabiał? Na motocykl, czy na lotnię? – jakby złośliwie zapytała Lila.

– Na rower, który kręci się do tyłu – odpowiedział Jacek.

– Jacusiu, coś ty! Chcesz jeździć do tyłu? Recesja ci się udzieliła? – przestraszyła się babcia.

– Ależ skąd. Będę jeździć do przodu, tylko kręcić do tyłu.

– A w jakim celu? – nie mogła zrozumieć babcia.

– Podobno do tyłu lżej kręcić, niż do przodu.

– Ale to nie ty wymyśliłeś? – podejrzliwie spytała babcia.

– Słyszał w telewizji – powiedział dziadek. – Z Łodzi donieśli, że jeden racjonalizator wynalazł rower, którym pedałuje się do tyłu.

– Czy to przypadkiem nie jest jakiś ekonomista, który próbuje swój wynalazek na naszej gospodarce? – zapytała znów babcia.

– Nie, to zwyczajny obywatel. Ale u nas nie ma zrozumienia dla wynalazków, urząd patentowy nie wyraził zainteresowania i teraz ja sam muszę dojść jak on to zrobił – z goryczą powiedział Jacek.

– Nie będziesz przerabiać tego roweru – kategorycznie zaoponował dziadek. – Kupiłem ci go, żebyś wyrabiał mięśnie i ćwiczył kondycję fizyczną, a nie po to, żebyś szedł na łatwiznę.

– Może ten wynalazek jest do niczego? Przecież nikt go nie wypróbował – podrzuciła wątpliwość ciocia Helenka.

– W telewizji powiedzieli, że na pewno kupi go Francja, albo Włochy – odparł zarzut Jacek.

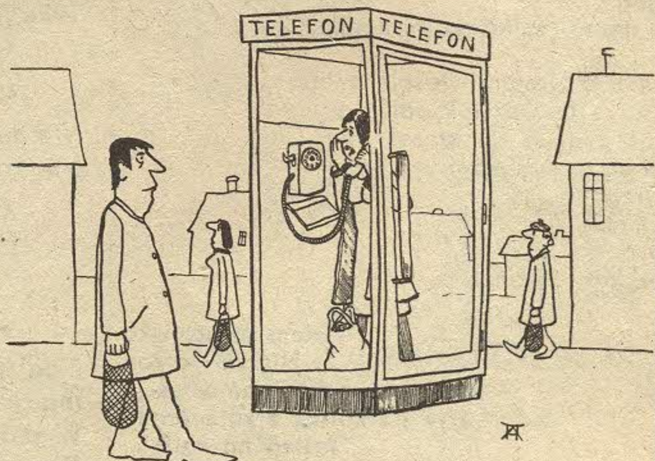
– Dlaczego akurat Francja, albo Włochy? – zdziwiła się ciocia Helenka.

– Nie mam pojęcia, może oni też mają takie trudności jak my? – wyraził przypuszczenie Jacek.

– Pleciesz byle co – oceniła babcia. – Francuzi jedzą sałatę i ślimaki, a Włosi makaron, więc nie mają siły. A my po kolacji mamy trzeci odcinek filmu „Stąd do wieczności", więc radzę wam pośpieszyć się z jedzeniem.

Nie ulega wątpliwości, że życie bez telewizji mielibyśmy znacznie mniej ciekawe.

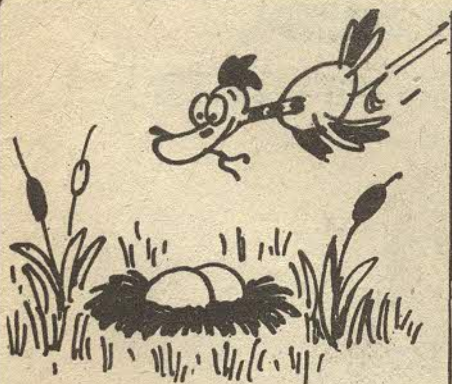
TERESA WOJCIECHOWSKA



– Przyślijcie obstawę – mam dwa serki topione!

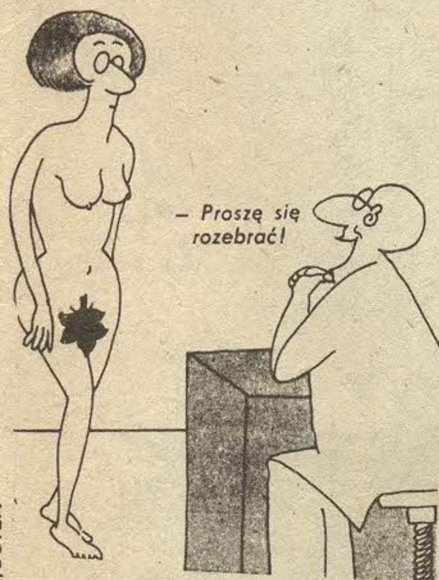
ANDRZEJ ADAMOWICZ

import





„PAVLIHA"



„OSTEN"



„LITERATURNAJA GAZETA"



„FRANCE DIMANCHE"

– *Jaka to szkoda, że jest pani mężatką. Chciałbym mieć taką oszczędną żonę!*

karuzela

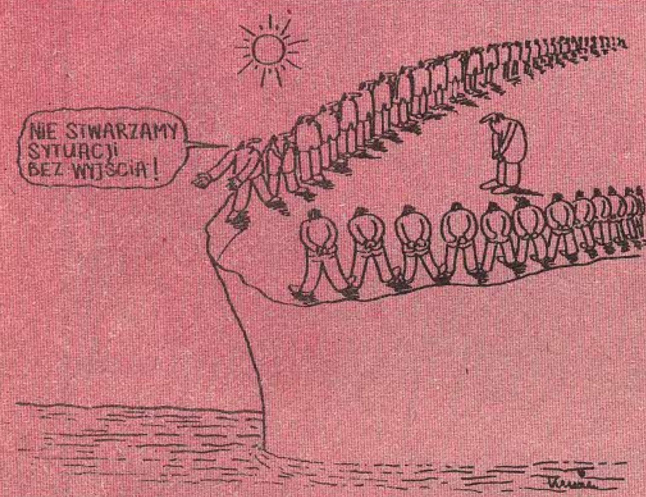
Czasopismo satyryczne Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Adres redakcji: 90-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Telefony bezpośrednie: 314-32, 406-46 Centrala: 293-00

Redaguje zespół: WOJCIECH DRYGAS **(redaktor naczelny),** ADAM BIEŃKOWSKI **(zastępca redaktora naczelnego),** BOHDAN PIĄTKOWSKI **(sekretarz redakcji),** STANISŁAW GRATKOWSKI **(kierownik działu graficznego),** HALINA SIBIŃSKA **(zastępca kierownika działu graficznego),** STEFANIA MAŁEK, ALEKSANDRA ZIMIŃSKA **(red. techniczni),** KAROL BADZIAK. **Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne 90-950 Łódź, ulica Armii Czerwonej 28. Rysunków i tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adiustacji nadesłanych tekstów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej w kraju wynosi 120 zł. Prenumeratę za granicą przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Numer zamknięto 15.X.1981 r. Zam. 2170 – K-2. Nr indeksu 36254.**

Opracowanie graficzne HALINA SIBIŃSKA

Rysunki: **JERZY KUBIK**

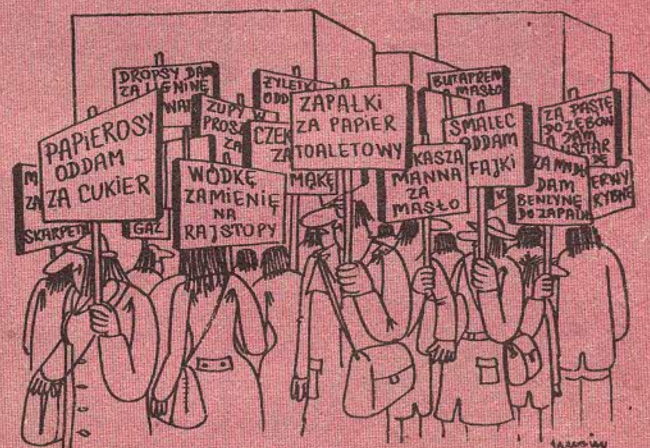


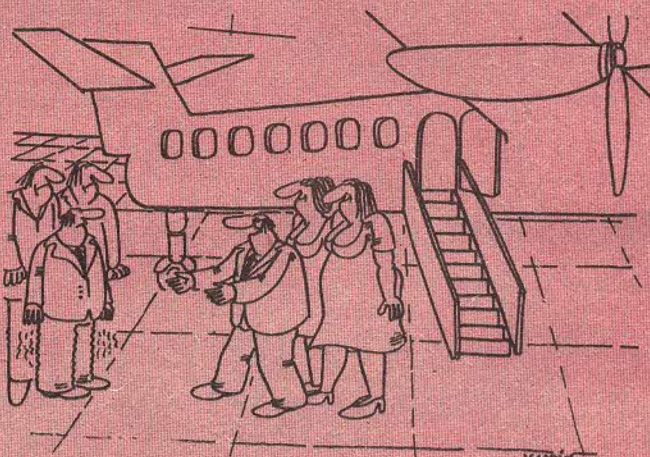


KTO IDZIE ?

321 !







– Bez obaw, Ekscelencjo, moje gorylice zajmą się wyłącznie Pańskimi gorylami!